**Dawne Mościce z pamięci mieszkańców. Z Tadeuszem Żmudą rozmawia Monika Faron, podkast 2.**

**Podkasty nagrane w ramach projektu „Mościce mam sercu. Upowszechnianie dziedzictwa kulturowego przyfabrycznej dzielnicy Tarnowa”. Rozmowę można odsłuchać lub odczytać pod podkastem.**

**Tekst dostępny w formacie otwartym (dokument tekstowy). Kliknij, żeby pobrać tekst rozmowy.**

**Pan Tadeusz Żmuda mówi o sobie tak:** „Jestem mościczaninem z urodzenia, wyboru i akceptacji”. **Podzieli się z nami ciągle żywymi wspomnieniami z Mościc lat 50. i 60. Opowie zarówno o życiu codziennym, jak i odświętnym tej dzielnicy. A w drugiej części tego spotkania przejrzymy wyjątkową galerię postaci, które stanowiły o wyjątkowości i kolorycie Mościc.**

Tadeusz Żmuda: Jako członek tamtejszej społeczności, jako dziecko wyrosłe w atmosferze Mościc, skupię się w pewnym sensie na rozszerzeniu wątku mieszkańca baraków, tych przy ulicy Kościelnej. Będę mówił o całych Mościcach, ale życie w Mościcach było zróżnicowane w zależności od tego, kto gdzie mieszkał, w której dzielnicy Mościc. Czy to były baraki przy ulicy Kościelnej - ta najweselsza część, moim zdaniem, czy ktoś mieszkał w dzielnicy urzędniczej - tam gdzie były zbudowane domy willowe w 1927 roku. Czy ktoś mieszkał na Plewęcinie, czy Świerczkowie, czy Kaprze, czy na Dąbrówce Infułackiej.

**Monika Faron: To były różne rytmy?**

TŻ: Tak, to były różne części Mościc i różne rytmy były. To wynikało z zaszłości historycznych. Moje wspomnienie - i tutaj chciałbym to zaakcentować - dotyczy właśnie rytmu życia mieszkańców części robotniczej. Tej części, która składała się z czternastu baraków.

**MF: Czyli kolonia fabryczna?**

TŻ: Kolonia fabryczna. Ale kolonia fabryczna była podzielona na urzędniczą, czyli mieszkańców Mościc, którzy mieszkali w rejonie ulic Topolowej, Głogowej, Białych i Czerwonych Klonów. To była dzielnica willowa. Tam mieszkali inżynierowie, członkowie zarządu fabryki. Natomiast cztery domy plus trzy jeszcze później dobudowane w 1934 roku w tej drugiej fali inwestycyjnej, rozwoju Mościc po kryzysie - to była zabudowa zachodnia ulicy Kościelnej, naprzeciwko naszych baraków. Tam mieszkali Mościczanie, którzy pełnili różne funkcje szczebla średniego, różnego rodzaju. To też była warstwa urzędnicza, ale różniła się ona od tej warstwy inteligenckiej, tej ścisłej, która zamieszkała właśnie w części willowej. No i nasza część, powiedzmy najweselsza, zamieszkana była przez robotników, którzy zajęli właśnie mieszkania w barakach. To nie były mieszkania, gdzie każdy mógł mieszkać, kto tam sobie wynajął miejsce. Nie. Wszystkie lokale, które były w Mościcach, należały do fabryki. Lokale na barakach zajmowali mieszkańcy, którzy mieli stałą umowę z Zakładami Azotowymi. Wówczas fabrykę nazywano Zakładami Azotowymi a wcześniej to była Państwa Fabryka Związków Azotowych, przed wojną. Gdy kończył ktoś pracę z różnych względów: przeprowadzał się albo zamierzał wyjechać, to nie zostawiał rodziny, nie traktował mieszkania jako swojej własności, tylko musiał je opuścić. Był rygor pod tym względem. Porządek.

**MF: Powiedzmy, że w dzisiejszym nazewnictwie słowo „barak” kojarzy się bardzo jednoznacznie, że to jest jakaś taka budowla prowizoryczna z przeznaczeniem czasowym. Tymczasem pan mówi o barakach, które powstały do drugiej połowie 20 wieku.**

TŻ: W 1927 roku konkretnie.

**MF: A mieszkało się w nich jeszcze - i to komfortowo - w latach 50. Jak one wyglądały? Jakiego rodzaju to były budowle?**

TŻ: No nic bardziej błędnego, jak określenie Mościckich baraków jako prowizorium budowlanego. To były bardzo solidne budowle. To była taka szeregówka - odpowiednik dzisiejszego budownictwa szeregowego, tylko wykonana z drewna o solidnej konstrukcji szkieletowej. Posadowiona była ta konstrukcja na fundamentach, bardzo zresztą solidnych. Ściany podwójne, deskowane, w środku wyłożone trzciną. W tej chwili mówię o walorach budowlanych. Trzcina służyła jako nośnik oczywiście tynku i wytynkowane na biało pięknie. Obszerne pokoje, ze spiżarką, z piwniczką - jeżeli ktoś sobie zrobił oczywiście spiżarkę - i ogromnym strychem. Wszystko było użytkowe. Ściany były ocieplone takimi materiałami, jakie wówczas były używane, czyli między ścianą zewnętrzną a wewnętrzną sypany był żużel mielony, specjalnie segregowany. Ściany były takie, w pewnym sensie trójwarstwowe.

**MF: Komorowe.**

TŻ: Coś takiego. I to sprawiało, że tą technologią budowano szybko taki budynek i on spełniał wszelkie normy cieplne, że to tak nazwę. Nie było w nim zimno. Był piec kaflowy w pokoju, również kaflowa kuchnia. Zlew z wodą bieżącą. A łazienka była w środku baraków, zbudowana jako osobne pomieszczenie sanitarne. To było miejsce, gdzie były ustępy po jednej stronie korytarza, a na wprost była duża łazienka z piecem węglowym, z prysznicem i wanną również. To były bardzo solidne budowle. One by przetrwały jeszcze długo, długo według mojej oceny.

**MF: Nagrywamy rozmowę dla współczesnych a niekoniecznie wszyscy pamiętają tamte czasy i wiedzą co pod tą nazwą naprawdę się kryło.**

TŻ: Na baraki wtedy nie używało się słowa baraki, tylko się mówiło pawilony i operowało się cyfrą:

- Gdzie mieszkasz?

- W pawilonie dziesiątym.

Ja, jak pisałem list do mojej ciotki, który mama mi dyktowała, też używałem na kopercie adresu zwrotnego „Pawilon XI/7”. Na starych kopertach też figurują takie skrót PAW. (od „pawilon”) i cyfra rzymska.

**MF: Panie Tadeuszu, na koniec tego wątku, kiedy przyszedł kres baraków?**

TŻ: Kres baraków przyszedł wraz z początkiem socrealizmu, gdy postawiono pierwsze bloki wzorowane na radzieckich doświadczeniach. I to jest ten środek Mościc, słynne podkowy. Te mieszkania były bardzo komfortowe i dobre, zaspokajały głód mieszkaniowy, ale wówczas rozpoczął się exodus. Po prostu zaczęto ludzi przesiedlać z baraków, bo uważano je za relikt minionej epoki. I na różnych forach - jak się chcieli popisać sekretarze - to każdy deklarował, że ludzie zostaną przeniesieni z tych baraków. A ci ludzie wcale nie chcieli stamtąd odejść. To był pewien paradoks. Dlatego, że oni mieli już pewien styl życia, wrośli powiedzmy sobie w tamtą społeczność.

**MF: Mieli ogródki, mieli komórki, przestrzeń i podwórko.**

TŻ: I zwierzątka. Mieli to, co utracili gdzieś tam. Przynajmniej w namiastce, w miniaturze. Nieuchronna rozbudowa Mościc spowodowała, że ci ludzie byli przenoszeni.

**MF: Które to były lata?**

TŻ: Ten exodus się zaczął w pierwszej połowie lat 60. W 1964 roku myśmy się przenieśli, pamiętam to z autopsji. Ale myśmy się przenieśli na drugą stronę, właśnie do takiego trzypokojowego, bardzo ładnego mieszkania w bloku. Przy ulicy ówczesnej Dębowej, obecnie Kasztanowej. Mieliśmy łazienkę (już wewnątrz) ogrzewanie piecowe jeszcze, bo później dopiero centralne ogrzewanie. Nawet i w tych blokach nowocześnie postawionych to centralne ogrzewanie wprowadzono później. Tak to ogrzewanie było piecowe, zarówno w przedwojennych, jaki i tych współczesny blokach.

**MF: Pamięta pan, kiedy ostatni barak został zburzony?**

TŻ: To było w ‘67 roku chyba, według mojej pamięci. Tak mi się wydaje że to był 67. rok właśnie, bo wtedy chodziłem jeszcze na te baraki, nawet jak wyburzono kaplicę, one zostały już takie troszeczkę osamotnione. I te baraki już były bardzo smutny widokiem: okna zabite deskami, wiatr który hulał po podwórkach, zarośnięte podwórka. Powoli się kończyły i przechodziły do niebytu. Później ekipy więźniów z Tarnowa… Przepraszam z Mościc-Kapra, bo tam mieści się Zakład Karny, używane były do rozbiórki tych baraków. Patrzyłem z pewną melancholią na ten proces końcówki życia tej całej dzielnicy, bo przecież tam było mnóstwo wydarzeń związanych z ludźmi, mnóstwo mościczan przeszło przez baraki. Droga życiowa była taka: staranie się o pracę, wykazanie, że jest się zakładowi potrzebnym, mieszkanie na barakach i potem mieszkanie na blokach, czy w innej dzielnicy. Tych ludzi przeszło tą drogą bardzo dużo, szczególnie w latach 50. Właściwie to od 1930 roku, od 1927 roku od grudnia, kiedy pierwsi fachowcy różnych zawodów zasiedli te baraki. Ten proces cały czas trwał, no i skończył się. Postępu nie można zatrzymać. Życie okazało się silniejsze niż stereotypy, niż przyzwyczajenia. Czegoś żal na końcu po prostu... Nie baraków prawdopodobnie - przynajmniej ja to tak odczuwam - tylko młodości. Ona tam przebiegała, w takim czasie, przy takim statusie społecznym. No cóż, to było nasze doświadczenie.

**MF: Panie Tadeuszu powiedzmy o tym życiu codziennym Mościc. Proszę nam opowiedzieć, bo pan sporo pamięta z lat 50., wtedy przypadało pana dzieciństwo i młodość i pamięć jest fantastyczna, więc może się pan tymi wspomnieniami podzielić? Jaki był rytm życia mościczan, takiego dnia codziennego?**

TŻ: Rytm dnia Mościc, ówczesnych Mościc, wyznaczała praca w fabryce. Wszystko było podporządkowane właśnie temu porządkowi dnia w fabryce. Wówczas pracowało się przez sześć dni w tygodniu, niedziela tylko była wolna. Od poniedziałku do piątku wszyscy pracowali w fabryce po 8 godzin, a w sobotę 6 godzin. Szkoły też były czynne w sobotę. W miejscu, gdzie ja przeżywałem swoje dzieciństwo i młodość, czyli ta świadoma część przypadająca już na ulicę Kościelną, to mościczanie wstawali bardzo wczas (wcześnie). Moja mama wstawała po czwartej godzinie rano. A Mościce się budziły tak między 5:00 a 6:00. Wtedy rozpoczynał się już ruch, który był widoczny i słyszalny. Ponieważ mieszkańcy Mościc żyli w takim dość specyficznym środowisku, gdzie każde mieszkanie w baraku miało ogródek, między ulicą a oknami, które wychodziły na ulicę była przestrzeń do zagospodarowania na ogródki. To był ogródki jarzynowe, kwiatowe, bardzo ładnie utrzymane. Można powiedzieć, że roślinki na baczność stały. Tam nie było żadnego chwastu, nie do pomyślenia było żeby jakiś brak kosmetyki się w to wkradał. Tam było dużo kwiatów, krzewy, bzy tak bliżej, był chodniczek z jednej, z drugiej strony komunikacyjny.

**MF: A Jarzynki?**

TŻ: Tak, oczywiście. I dlaczego oni tak wstawali wczas? Dlatego, że na podwórku, pomiędzy jednym a drugim barakiem (które były tak usytuowane że były lustrzanym odbiciem, okna z kuchni wychodziły na podwórka) stały komórki. W tych komórkach hodowano króliki, kury, świnki, co kto mógł. To przeszło jeszcze z czasów okupacji. Ludzie żeby nie głodować przy tych kartkowych przydziałach, realizowanych przez niemiecką administrację, hodowali te wszystkie zwierzątka. No i trzeba było zwierzęta nakarmić i wypuścić kurki. O poranku zajmowano się takim obrządkiem. Robiły to mamy, żony, czy po prostu gospodynie, które w zdecydowanej większości nie pracowały (bo tak było w tradycji mościckiej, że kobiety raczej zajmowały się dziećmi). Rodziny były liczne, od trzech dzieci wzwyż. Jeśli było mniej dzieci w rodzinie, to troszeczkę ze współczuciem patrzono na taką rodzinę, a trochę z zazdrością, bo mniejszy wysiłek był.

Rytm życia odmierzała tutaj fabryczna syrena parowa, która była umieszczona na elektrowni elektrociepłowni nr 1, w skrócie nazywały się EC1 i o siódmej rano ryk z tej syreny oznajmiał, że rozpoczęła się pierwsza zmiana. No i to trwało do godziny 15:00, kiedy syrena ogłaszała zakończenie dla jednych pracy, a rozpoczęcie dla drugiej zmiany. I to samo o 23:00. Więc trzeba było wyprawić rano głowę rodziny do pracy, przyszykować śniadanie. Później cała ta społeczność udawała się do pracy, ta część robotnicza i część, która związana była z tak zwanym utrzymaniem ruchu, czyli to byli wszyscy fachowcy pomocniczy: ślusarze, elektrycy, pracownicy budowlani i tak dalej.

**MF: To było pójście do fabryki na piechotę czy rowerami?**

TŻ: I tak i tak. To znaczy zdecydowana większość jeździła na rowerach. Podstawowym środkiem lokomocji był rower. Te rowery to nie były nowe rowery. To były rowery takie składane. Myśmy na przykład nigdy nie mieli nowego roweru praktycznie rzecz biorąc, bo taka była tradycja, że kupowało się tam ramo gdzieś, jakieś tam koła i składało się. Urzędnicy chodzili na piechotę z reguły. Nie jeździli rowerami. Teczka w ręku pękata i na 8:00 godzinę urzędnicy fabryczni szli do pracy i pracowali do godziny 16:00. Natomiast ci związani bezpośrednio z produkcją to na 7:00 do 15:00. Te godziny poranne to były związane z wielkim ożywieniem Mościc, bo to była społeczność około 3 tysięcy ludzi wówczas, bo ja mówię o czasie przed rozbudową fabryki, bo jak ruszył ten Tarnów tak zwany II, którym nazwano już w latach 60. tą rozbudowaną fabrykę, to ona była dużo większa niż ta pierwotna, historyczna fabryka. Więc wtedy byłeś jeszcze więcej ludzi. Ale wówczas nawet wtedy kiedy fabryka dopiero rozbudowywała się, to tymi alejkami, ulicami właśnie taki strumyk tych ludzi po prostu podążał ku fabryce. Przed fabryką witał przybyłych wesoły, powiedzmy sobie, koncert z głośnika. Był megafon, a właściwie dwa, na bramie i była audycja radiowęzła zakładowego i potem ona kończyła się oczywiście retransmisją programu pierwszego polskiego radia. Potem jeszcze była transmisja na terenie zakładu, już wówczas przez radiofonię przewodową w tych głośnikach zakładowych, ale dotycząca spraw zakładu. Koncert Życzeń był też. To takie ożywienie chwilowe podczas pracy. Studio było tam, w tym budynku z zegarem czyli budynku portierni tak zwanej. Tam gdzie była też siedziba straży przemysłowej. Więc ta audycja była, ta która dotyczyła zakładu była transmitowana tylko dla zakładu. A Mościce całe był zradiofonizowane. Była sieć radiofonii przewodowej, takie małe gniazdka, głośniki. W każdym mieszkaniu był na ścianie tak zwany kołchoźnik popularnie nazywane ten głośnik. No i tam był transmisja polskiego radia pierwszego programu. Później włączano transmisję z drugiego programu i to była muzyka poważna. A wieczorem przełączano też na pierwszy program dlatego, że były tam elementy rozrywki różnego rodzaju, a ludzie bardzo, bardzo byli głodni informacji. Tak więc te głośniki grały ciszej lub głośniej. Ale gdy się szło przez Mościce to można było nie wstępować a wysłuchać to samo po prostu przez cały czas. Gdzieś tam dźwięczał w tle ten kołchoźnik, programy zaczynały się o 4:00 rano. Pamiętam, że zaczynał się gimnastyką, pianiem koguta i gimnastyką właśnie. Gimnastykę prowadził pan doktor Erdmann chyba, a później pan, po jego śmierci, pan Hoffman, jeżeli mnie pamięć nie myli. I ta gimnastyka trwała 10 minut. No, niektórzy się nawet gimnastykowali. Ja sam też próbowałem jakoś się dostosować, ale potem mi się nie chciało, bo byłem rozleniwiony i w ogóle musiałem się przygotować do szkoły. No więc osobną rzeczą była właśnie wędrówka dzieciaków do szkoły. Ta wędrówkę do szkoły była czasami związana z jakimiś tam ciekawymi miejscami. Jednym z takich miejsc to było właśnie przejazd kolejowy, stara bocznica kolejowa. Ku naszej uciesze czasami pociąg towarowy zagradzał nam drogę i myśmy stali przed tym pociągiem. Liczyliśmy wagony oczywiście i podziwialiśmy ich zawartość. Gdy pociąg stał i przedłużało się to rozważaliśmy czy więcej, czy nam uwierzy ktoś, że nam lekcja przepadnie bo potem nauczyciele się wzięli na sposób i nie przyjmowali do tłumaczenia, że pociąg zagrodził drogę. Trzeba było coś wybrać. Albo tłumaczenie, że zagrodził i spóźnić się żeby ta wstrętna lekcja przepadła załóżmy, albo no radzić sobie. Radziliśmy sobie tak, że ku zgrozie zgromadzonych tam ludzi starszych czasami, którzy protestowali, to myśmy pod wagonem przychodzili na czworakach na drugą stronę, nasłuchujący oczywiście, żeby tam nie ruszyła wtedy lokomotywa. Tak to po prostu było. Nie mobilizowana nas tam nawet jako dzieciaków ta chęć usprawiedliwienia się przed nauczycielem, tylko za torem, po lewej stronie stał kiosk pana Waleszczyńskiego. To był taki dystyngowany pan jak wszyscy ci przedwojenni przedsiębiorcy. Wtedy on był emerytem, ale prowadził ze swoją żoną kiosk. I tam były osobliwości różne, których nie było w naszym handlu. Pan Waleszczyński jak widział nas że my tam, powiedzmy sobie, przechodzimy pod tym pociągiem. Bo druga wersja była taka, że trzeba było wybrać wagon, który posiadał taką platformę z tyłu, takie schodki. Można było skoczyć szybciutko górą po prostu. Niektórzy popisywali dołem niektórzy górą. I tak zaoszczędzony czas spędzaliśmy właśnie kupując sobie oranżadę albo takie karmelki, które udawały papierosy. I dzieciska tak zadowolone dopiero szły do szkoły. Oczywiście wtedy, kiedy wybudowano tam kościół obowiązkowo wstępowaliśmy wszyscy, prawie w 100%, do kościoła. Kościół był zamknięty w środku, ale przedsionek był otwarty. Tam modliliśmy się, żeby Pan Bóg sprawił, żebyśmy dzisiaj dwói nie dostali i w szeregu taki swoich właśnie intencji. Potem z przyzwyczajania też chodziliśmy do tego kościoła, nawet nie modląc się, tylko żeby wejść, przyklęknąć i iść dalej do tej szkółki. No i tak wyglądały tutaj nasze peregrynacje do szkoły nr 8. Przełom dnia to jest oczywiście godzina 15:00, kiedy tłumnie wracają mościczanie z pracy. Chodniki się wypełniają, uliczki. Później ojciec, który wracał z pracy, a i sąsiedzi, tak samo obserwowałem, zajmowali się różnego rodzaju pracami związanymi po prostu z egzystencją. Kto tam miał jakiś fach, coś umiał robić, to wówczas poświęcał tą pracę, tą swoją aktywność właśnie na to zajęcie. Byli też posiadaczy motocykli, oddawali się swojej pasji, więc różnego rodzaju te motocykle to były piękne. One były najczęściej z czasów wojny albo przedwojenne, więc sobie coś tam grzebali koło tych motocykli. Najpiękniejszą porą natomiast dla nas wszystkich i taką wspólną dla mościczan to były wieczory. Wtedy kiedy już powoli mrok, jak to się mówi, ogarniał ziemię u nas był taki zwyczaj na barakach, że brało się, wyściełało się kocykiem progi i na tych progach siadano. Oczywiście to głównie robiły kobiety, które miały wreszcie ten czas dla siebie, jakieś takie wytchnienie po całodziennej pracy, żeby sobie usiąść po prostu i z sąsiadką pogadać. Mieszkanie oddzielone było tylko grubością ściany, więc ta bliskość była absolutna, niemal że. Wszystko się wiedziało co się dzieje w drugim i odwrotnie. Wówczas te wieczory były poświęcone właśnie na różnego rodzaju opowieści albo z przeszłości albo wspólnego życia albo wymianie informacji, doświadczeń. Myśmy jako dzieci bardzo to lubili dlatego, że wówczas dowiadywaliśmy się od rodziców wiele, wiele ciekawych rzeczy historycznych.

**MF: Uczestniczyliście w tym dorosłym życiu.**

TŻ: Tak, jako słuchacze. Nie przerywaliśmy, bo to nie było wówczas akceptowane, ale bardzo, bardzo chętnie i wtedy układało się nam w całość pewien obraz, czy sąsiada, czy tej rodziny. Zresztą wszyscy traktowali się tam, jako podświadomie nawet to było, jako jedna wielka taka rodzina, gdzie są dalsi krewni, całkiem dalecy i bliższy. Zawsze sąsiad był najbliższym po prostu. Sąsiedzi z jednego baraku to było 10 rodzin i sąsiedzi z drugiego, będącego naprzeciwko to niemalże, to była sama rodzina. Bo wspólny był po prostu cel, wspólne miejsce pracy, wspólne pewnym sensie zamieszkiwanie na małym terytorium. Tak to wyglądało po prostu jeżeli chodzi, charakteryzując dzień taki pośredni. Inaczej było w święta. Inaczej było w święta państwowe, inaczej było święta kościelne. Święta państwowe to były fajne święta, bo zawsze wiązały się z jakąś atrakcją, jakąś uroczystością. Mościce żyły wtedy własnym życiem, takim kreowanym przez Dom Kultury, przez instytucje kultury- kino, Dom Kultury, kościół. Więc te święta państwowe, aczkolwiek, których mieszkańcy nie uznawali dlatego, że oni byli ukształtowani przez inną rzeczywistość. Nie bardzo wierzyli. Uważali „Aaa…to takie ruskie święta”. Ale chętnie świętowali traktując to jako dzień wolny i jako atrakcję, rozrywkę. Ludziom potrzebne było takie coś. Za Kasynem była zabawa, tam się odbywały tańce, koncerty, mnóstwo ławek było. Tak to wyglądało. Tam była duża zabawa, taka środowiskowa i zawsze miała dwa etaty, pierwszy oficjalny i nieoficjalny. Pierwszy to były wystąpienia sekretarzy, którzy chwalili wyższość ustroju socjalistycznego nad kapitalistycznym i takie zapoznanie się z osiągnięciami fabryki, itd. A jak się to skończyło, cierpliwie ludzie wysłuchali, to się rozpoczynała część druga część oficjalna, ale taka rozrywkowa. Po prostu był koncert jakiś. Jakaś orkiestra występowali. Oczywiście to był wszystko reżyserowane i pod kontrolą. Byli bardzo zabawni konferansjerzy ze środowiska. Kto tam jeszcze… Goście zaproszeni i jakaś orkiestra, soliści, bufet działał. Wszystko było przez fabrykę przygotowane. A ludzie się bawili, cieszyli się. Zabawa trwała do późnej nocy, chyba że burza czy jakiś inny kataklizm rozgonił towarzystwo.

**MF: Mówił mi pan w rozmowie poza mikrofonem o tym, że orkiestra zakładowa też uczestniczyła w takich wydarzeniach.**

TŻ: Tak, tak. We wszystkich wydarzeniach więc ważne święta państwowe, słusznie pani zapytała, uszło mi to uwadze, rozpoczynała koncertem, takim kapstrzykiem- porannym budzeniem wesołym. O godzinie 6:00, na ciężarówce jeździła Orkiestra Zakładowa w poszczególne części, przyjeżdżała oczywiście na baraki, też tam na ulicę Kościelną i odgrywali po prostu różne marsze takie radosne, wesołe. Zaczynali z jednej strony ulicy, potem przemieszczali się na drugą i tak dalej przez całe Mościce.

**MF: Czekało się na tą orkiestrę?**

TŻ: Nie, nie. Ta orkiestra nas budziła. Wtedy jak było wiadomo, że będzie święto państwowe to myśmy dłużej spali, bo nie szło się do szkoły, pracownicy nie szli do pracy, ci dniówkowi tak zwani.

**MF: A oni budzili: Proszę wstawać i świętować.**

TŻ: Tak. I to było takie radosne. To było takie wesołe zaskoczenie.

**MF: Sporo już wiemy na temat życia codziennego i odświętnego Mościc lat 50 i 60, ale czym byłoby miejsce i czy mogłoby być wyjątkowe gdyby nie szczególni ludzie którzy dodawali kolorytu. Posłuchajmy więc kto szczególnie zapisał się w pamięci pana Tadeusza i dlaczego.**

TŻ: Jedną taką postacią powszechnie szanowaną i znaną to był pan listonosz. Wszyscy wiedzieli, że ma na imię Józek. „O Józek idzie z poczty”, a na pocztę się wówczas bardzo czekało, ponieważ cała praktycznie społeczność Mościc to byli ludzie napływowi, o bardzo zróżnicowanych biografiach. No więc ci ludzie utrzymywali kontakt ze sobą, a wojna ich rozproszyła w różne miejsca, więc listy przychodziły i zagranicy i krajowe. Pan Józek oczywiście w rozpiętej marynarce, bo czuł się już dobrze, z ogromną torbą wypełniona przesyłkami, z czapką tak lekko zaciągniętą do góry, o mocnym, donośnym głosie, chodził, szedł sobie wzdłuż baraków i krzyczał nazwiska ludzi. Żmuda! No to my oczywiście, jako dzieci, biegliśmy i oczekiwaliśmy tam swoich nazwisk czy własnej rodziny, czy krewnych, czy znajomych, czy sąsiadów. Najczęściej te listy wydawał dzieciom. Dzieci miały z tego fajną zabawę, jak przyniosły tam do kogoś list no to zawsze albo wystawiły ciastko, albo cukierek, albo znaczek. Filatelistyka była bardzo rozpowszechniona. W Tarnowie był sklep pod nazwą „Filatelistyka”. I wówczas znaczek.

**MF: No to dobrze. Listonosz, pan Józek, to już wiemy, to jedna z postaci. Kto jeszcze?**

TŻ: Fotograf. proszę panią. Przyjeżdżał na rowerze z aparatem przewieszony ukośnie przez ramię, no i robili sobie ludzie zdjęcia różne na podwórkach. No wtedy mamy, oczywiście z dzisiejszego punktu widzenia, niepotrzebnie myły te dzieci albo je przebierały żeby ładnie wyglądały na zdjęciu. A szkoda, bo to troszkę inaczej wyglądało.

**MF: Niż na co dzień.**

TŻ: Ale też robił z ukradka zdjęcia albo robił sobie zdjęcia według własnej tam jakieś przyjętej estetyki obrazu i potem przyjeżdżał jeszcze raz i sprzedawał te zdjęcia i najczęściej ludzie kupowali te zdjęcia. No byli i tacy domokrążcy, różnego rodzaju żebracy. Autentyczni albo po prostu przebierańcy. No więc były zespoły cygańskie, które takie przyjeżdżali cyganie, rozbijali nad Białą swój obóz. No i tam na chwileczkę zabawili, a przy okazji zajmowali się takim zbieranie pieniążków, więc oni najczęściej śpiewali różnego rodzaju piosenki. Niektóre takie przynależne, załóżmy, do folkloru cygańskiego, a inne nawet bardzo sprośne. Tych szczególnie pewna grupa dzieci słuchała, ku zgrozie ich mam itd. No ale to oni nie byli szkodliwi i raczej wnosili element takiego folkloru innego. Był oryginalny pan, którego też bardzo chętnie szanowaliśmy i oczekiwaliśmy, jako dzieci, bo przyglądaliśmy się pracy właśnie takiego ślusarza, złotej rączki, który robił wszystko. Na plecach miał cały warsztat. Miał takie nosidełko- zwiniętą rolkę blachy ocynkowanej. No co tam jeszcze miał? Zestaw narzędzi ślusarskich, niemal wszystko. I on to błyskawicznie z tego roweru ściągał i z pleców, i organizował sobie normalnie warsztat. Oczywiście szlifierkę na pedał, nogą ruszał, ostrzył noże, nożyczki. Nitował garnki. Brał taki, wycinał błyskawicznie, robił to tak jeszcze takimi ruchami prawie artystycznymi i klepał, i za chwileczkę proszę bardzo, nowy garczek. Już ze starego jest nowiutki. No kobiety niektóre niedowierzały po prostu tutaj. Miał ze sobą wodę w wiadereczku, przelewał, proszę szczelny, szczelny. Proszę na kuchnię położyć no i już. Bo byli tacy ludzie, oni bardzo imponowali, bo to byli fachowcy. Myśmy ich szanowali. Było kilka takich postaci Mościckich, też charakterystycznych, których wszyscy szanowali. Oni czymś, kimś tutaj byli po prostu, i w świadomości starszego pokolenia byli, może nie autorytetami, ale osobami szanowanym z uwagi albo na swój zawód, albo na rolę społeczną, opiniotwórczą nazwijmy to. Liczono się z ich zdaniem. Były bardzo ważne osoby i takich osób było tutaj kilka. Mogę tutaj wspomnieć o pani, która przyjęła mnie na ten świat, czyli pani Banachowej. Ona była akuszerką, tak zwaną. Nazywała się pani Banachowa. Była to kobieta zdecydowana, taka trochę kostyczna, silna, o silnym głosie, władczym geście, i mówiła wszystkim po imieniu, bo ona przyjmowała wszystkich mościczan na świat. Jeżeli kobieta miała rodzić, no to sekwencja zdarzeń była następująca. Wysłało się męża, no który najczęściej był człowiekiem zdeterminowanym w pomocy, ale nie wiedział co ma robić po prostu, zagubiony. Ojciec, jak wszyscy inni, poszedł do pani Banachowej powiadomić ją, że to już. No to pani Banachowa, dialog mniej więcej tak wyglądał: „No to Stefan bierz narzędzia i smaruj tam do żony. Szykujcie wodę”. No to już ojciec był szczęśliwy, bo wiedział co robić po prostu. Ale ojciec jeszcze sobie przypomniała, że trzeba przywieźć panią Banachową, ale to była niewielka odległość. Ale tak było jakoś przyjęte, ponieważ mieszkał niedaleko taki pan, który miał dorożkę i on pracował w tak zwanym dworze, czyli na KAPR’ze, w gospodarstwie rolnym, a więc tą dorożkę czasem wykorzystywali do takich rzeczy. Szło się po prostu i poprosiło się, i ten człowiek pojechał po pana. Bo to różnie było i w nocy, i w dzień, a on był do dyspozycji, dorabiał sobie. No to proszę panią, w każdej chwili po prostu no podjechał pod panią Banachową, ona szybciutko się ubrała, no i podwiózł ją, ona wybadała tam mamę, no i stwierdziła, że albo ten poród się odbędzie albo się na przykład jeszcze nie odbędzie., albo trzeba do szpitala, nie daj Boże albo coś, Ale kobiety, generalnie rzecz biorąc, do szpitala nie jeździły, rodziły w domu. Tak było przyjęte i tak to było. Ona była specjalistką od wszystkiego. Miała przeróżne narzędzia chirurgiczne i nie wiadomo co. Wszystko to po prostu co było potrzebne, i opatrunkowe i tak dalej. No i jeszcze miała charakterystyczną rzecz, które dzieci, nas troszeczkę śmieszyła. Bo zamiast… nigdy nie używała rękawiczek tylko miała taką mufkę, taką jak księżniczki na starych filmach. I wkładała sobie ręce tam i grzała. Taka była, powiedzmy wyjęta z przed wojny po prostu. Wtedy moda się już zmieniała, ale jeszcze w dużej części po prostu część ludzi tak wyglądały jak przed wojną nazwijmy to. Wcale nieźle zresztą tylko w innej po prostu stylistyce. To była bardzo charakterystyczna postać, bez niej się nie obeszło. Wszyscy ją szanowali tutaj. Ona zresztą o ten szacunek nie zabiegała specjalnie, o to poważanie, bo miała taką silną osobowość, charakterystyczna.

**MF: Zresztą rola tak istotna, że mościczan przyjmowała, że tak powiem, po tej stronie świata. Wspomniał pan o panu Słowiku.**

TŻ: Pan Słowik Julian. O tak, to człowiek instytucja. Bardzo skromny człowiek. A stare zdjęcia, jak widzimy go jeszcze jako chłopaka takiego blondynka, gładko uczesanego, który jest na prymicjach księży, między innymi księdza Dyktonia z Dąbrówki. On był kościelnym, takim wiecznym kościelnym. Pierwszym kościelnym, przed wojną, był pan Napieracz, człowiek o takim nazwisku, a kolejnym był pan Julian Słowik. To był człowiek z urodzenia kościelny. Zawsze skromny, zawsze cichy. Człowiek mrówka. Wiedział jakie zadania ma wykonywać w kościele, w kaplicy, i bardzo sumienny. Nie było przypadku, nikt nie zna chyba, w pamięci nie zostało żeby o czymś zapomniał, żeby nieterminowo zadzwonić, czy w jakikolwiek sposób. On posługiwał przy chrztach, przy ślubach, no człowiek instytucja. Właściwy człowiek na właściwym miejscu. Zawsze w tym kościele miał coś do roboty.

**MF: Kogo jeszcze pan pamięta z tych wczasów jako taką postać charakterystyczną życia codziennego.**

TŻ: Pan Nowicki, charakterystyczna postać. Doktor Nowicki był takim medykiem, można powiedzieć z powołania. Charakterystyczna postać, wysoki człowiek, bardzo elegancki, najczęściej w takiej marynarce z krótkimi rękawami chodził. Znał wszystkich po imieniu. Jak myśmy szli na spacer czasem, jako małe dzieci, to „Ty Haniu co tam?” wypytywał mamę jak się czuje po porodzie?, „Które to dziecko”, i tak dalej. Ojcu coś tam przygroził tak humorystycznie. No taki był ciekawy człowiek. On robił wszystko, leczył na wszystkie choroby, prześwietlał ludzi sam osobiście. Z tym prześwietleniem to się wybrał tam na trójce, w tym niby w hotelu z lat 20., z końca lat 20. W jednym z tych pierwszych bloków, które były wybudowane. Tam właśnie prześwietlenie pan Nowiński organizował. A więc dzieci wszystkie z ósemki, ze szkoły numer 8, ustawiano tam nas na korytarzu. Myśmy tam po prostu czekali co to będzie. Ciekawi byliśmy jako dzieci. Do tego ciemnego pokoju nas wprowadzano, było zgaszone światło, czerwona lampka się paliła, nastrój takiej tajemniczości. No i ten aparat z takim ruchomym ekranem, wentylator szumiący i charakterystyczna postać pan Nowicki w okularach, w czepku okrągłym jak postać jakaś bajkowa. Przybliżał ten ekran i jak go przybliżył uruchamiała się lampa rentgenowska, i na ekranie widać było, jak to się mówi, kościotrupa, i prześwietlał nas szukając gruźlicy, zmiany jakiejś. To było w ramach profilaktyki takiej właśnie dziecięcej. No więc to była taka charakterystyczna postać. Były też postaci takie drugiego planu, nazwijmy to. Pan Buczek to był pracownik oddziału zaopatrzenia robotniczego, tak się wówczas nazywało tą komórkę, która odpowiadała za sprawy socjalne. Był powszechnie osobą, postacią znaną dlatego, że pełnił ciekawą rolę. Był to rozwoziciel mleka wyprodukowanego przez gospodarstwo doświadczalne przy Azotach, takie było w dworze Ujejskich, na KAPR’ze. Tam hodowano między innymi krówki. Mleko wożono do Konsumu i równocześnie wożono do willi poszczególnych mieszkańców w dzielnicy willowej. Była to taka pogoda, charakterystyczna postać. Człowiek w wyglądzie wyjęty całkowicie z minionej epoki, tak sprzed wojny. Prawdopodobnie to była taka zdobycz socjalna być może, zwyczaj taki był, że to mleko rozłożono właśnie do tych dzielnic mieszkalnych. Bo również mleko wydawano pracownikom, jeszcze od przed wojny, którzy pracowali w tak zwanych trudnych warunkach. Czyli tym pracownikom, którzy zatrudnieni byli bezpośrednio przy obsłudze urządzeń na terenie zakładu.

**MF: A pan Buczek jak wyglądał? Bo pan mówi, że taki wyjęty z minionej epoki.**

TŻ: Pan Buczek chodził w elegancko wyczyszczonych, błyszczący cholewach wysokich do kolan, takich oficerskich, jak również w takich spodniach powiedzmy, które później widziało się na dżokejach, jak na wyścigach konnych. W zielonej bluzce, rodzaj takiego munduru, no i oczywiście w czapce też charakterystycznej takiej trochę przypominającej wojskową. Nie spotkałem się po prostu gdzie indziej w różnych skupiskach ludzkich z taką funkcją właśnie ciekawą. Dlatego mi utkwił w pamięci bo był człowiekiem życzliwym i również myśmy bardzo chętnie korzystali. Jak zobaczyliśmy pana Buczka, że się porusza ulicami mościckimi, to wskakiwaliśmy sobie na tak zwanych kozioł, czyli na przednie siedzenie. Siadaliśmy koło niego i pomagaliśmy mu te bańki roznosić. Wypytywał nas o takie dziecięce sprawy. A my zachwyceni, że mamy dorosłego słuchacza. A jeszcze jak dawał do potrzymania lejce i bacik! Ooo, nasze szczęście było pełne. Chciałem go wspomnieć, tak z sympatii, jako człowieka będącego właśnie obecnym w tej naszej dziecięcej rzeczywistości Mościc.

**MF: A z postaci takich, z takich ludzi instytucji? Bo rozumiem, że tutaj rozwoziciel mleka miał bardzo ważne zadanie i był bardzo lubianą postacią. Ale byli tacy ludzie instytucje, na przykład ksiądz Indyk.**

TŻ: Tak, to byli ludzie pierwszego planu. No niewątpliwie najważniejsze autorytety i ludzie bardzo, bardzo szanowani, i pożyteczni. Niezależnie od tego jaką funkcję pełnili. Niewątpliwie na pierwsze miejsce wysuwał się ksiądz Stanisław Indyk. To był człowiek instytucja cała. Wszyscy wiedzieli o jego roli w czasie okupacji, o prowadzeniu przez niego tajnego nauczania, o jego roli w powoływaniu szkolnictwa. To była powszechna świadomość dlatego, że on współpracował tu z mościczanami. Bez dyskusji postać numer jeden. Równorzędną taką postacią, nie powiem, że dwa, ale równorzędną, zbiorową postacią, jeżeli tak mogę użyć takiego słowa, to była rodzina państwa Hallerów. Pan Kazimierz, pani Maria i rodzeństwo. Jeszcze w tej rodzinie utrzymywali i opiekowali się wychowanicą, tak w naszym odbiorze ją nazywaliśmy. To była taka ułomna dziewczynka, którą bardzo szanowali. Ona towarzyszyła im wszędzie. Zabierali ją wszędzie. Można ich było spotkać zawsze o poranku wczesnym, na szóstą chodzili do kościoła całą rodziną. Nawet jakbyśmy nie wiedzieli kto to jest rodzina Hallerów to w domu nam nakazywano, że jak będą Hallerowie szli to się ukłoń. A oni wszyscy zawsze się odkłaniali. Byli zawsze uprzejmi. I w stosunku do dziecka, i w stosunku do osób dorosłych mieli ogromne szacunek. Również pomagała w tym powiedzmy ich biografia, bo to byli ludzie którzy byli zesłani na Syberię, przeżyli gehennę zesłania, wrócili do Mościc, mieszkali po prostu skromnie dosyć w jednej z willi tam na rogu ulic Jarzębinowej i Czerwonych Klonów.

**MF: Czym oni się wyróżniali, że budzili taki powszechny szacunek, oprócz tej historii dramatycznej?**

TŻ: On się wyróżniali taką prezentowaną na zewnątrz pogodą, byli to ludzie bardzo pogodni i uprzejmi, i eleganccy. Wypisz wymaluj to była jak gdyby taka egzemplifikacja dziewiętnastowiecznego inteligenta. Tak się nam to kojarzyło, troszeczkę wyjętej pomnikowej postaci. Oni robili to o czym myśleli, ich życie było dokładnie zgodne z tym co głosili, przy czym się nie afiszowali w ogóle z niczym. Jeżeli coś dobrego robili to się wszyscy dowiadywali, że pani Hallerowa coś tam załatwiła dla kogoś, co wydawało się niemożliwe. Pan Haller również tam pomógł komuś coś załatwić, ujął się za kimś czy coś takiego. Ale to wszystko było nieznane. To dopiero wychodziło od trzecich ludzi. Postępowali dokładnie według ewangelicznych wzorów. Żyli tą wiarą na co dzień i tyle. W Mościcach rzadko kto chodził codziennie do kościoła. Wspominam ich jako zdecydowanie rodzinę odcinającą się od szarzyzny tym lat 50., jako ludzi bardzo pozytywnie ustosunkowanych do każdego człowieka.

**MF: Jeszcze miał pan kontakt z rodziną Abratowskich. Też takie bardzo słynne mościckie nazwisko.**

TŻ: Tak, pan Abratowski był kapelmistrzem naszym, człowiek instytucja. Właściwie to on tak troszeczkę sprawiał wrażenie jak gdyby był w swoim własnym świecie, chodził w takich grubych okularach, miał słaby wzrok. Często próby orkiestry odbywały się w Domu Kultury to kasyno, tak zwany budynek kasyna. Dla nas to było Nowe Kasyno, w przeciwieństwie do Starego, w którym obecnie mieści się archiwum tego przedwojennego. Myśmy na to mówili Kasyno. Pan Abratowski w tym, że kasynie prowadził próby orkiestry. Gdy wracał wieczorem, po zmroku, to miał problemy już z dostrzeżeniem różnych przeszkód. A Mościce w latach końcem lat 50. i początkiem 60. był rozkopane w dłużej części, bo już trwała rozbudowa. Bawiliśmy się tam wszyscy przy tej ulicy. Wyławiał mnie, bo mnie znał, bo mieszkaliśmy po drugiej stronie ulicy. Wołał na mnie, zapominał sobie wszystkich imion albo mylił imiona, co było bardzo zabawne, więc wołał mnie „Ej, kręcony! Chodź no tutaj!”. Wówczas miałem kręcone włosy. „Prowadź mnie do domu, żebym nie wpadł do jakiejś dziury”. Łapał mnie jedną ręką za włosy, a ja taki mały szedłem i dziwiłem się bardzo że pan Abratowski nie widzi. Po prostu jakoś nie mogłem tego zrozumieć, że można mieć taką wadę wzroku, bo dla mnie to było oczywiste. Przeprowadzałem go przez te mostki zrobione prymitywne, z trzech desek, nad tymi głębokimi wykopami do domu. Bardzo mi dziękował zawsze i szukał po kieszeni jakiegoś cukierka, jak nie miał to dawał mi 2 zł na przykład, co było dla mnie wielkim jakimś przeżyciem, bo nie dość że okazałem się uprzejmy to jeszcze zarobiłem. Myśmy na pana Abratowskiego też bardzo chętnie zaglądali jako tak zwani kolędnicy, bo to była frajda. Gdy przychodziły Święta Bożego Narodzenia to później, po Nowym Roku rozpoczynały się takie zwyczajowe jeszcze kolędy. 4-3 chłopaków, sadza z komina na twarz, jakieś tam resztki z kożuchów, poprzebieraliśmy się za różne postaci biblijne. Szopkę zrobiliśmy sobie sami z pudełka i wykleiliśmy święte postaci. Wędrowaliśmy zarówno po barakach jak i po blokach, między innymi do pana Abratowskiego. Dzwonek do drzwi, pan Abratowski gdzieś tam, usłyszeliśmy szelest. „Wśród nocnej ciszy…” rozlega się kolęda na klatce schodowej. Pan Abratowski otwiera, cieszy się i zaprasza nas do środka. Z reguły ludzie nas nie zapraszali do środka tylko odśpiewywaliśmy te kolędy na progu. Pana Abratowski otworzył drzwi na oścież, „Chodźcie chłopcy. Chodźcie, chodźcie”. My tam zawsze odśpiewywaliśmy coś, rodzaj takiego wierszowanego tekstu, trochę śmiesznego, trochę jasełkowatego takiego. No i pani Abratowska wtedy przynosiła nam jakieś ciasto. Częstowała nas z całą powagą. Myśmy nieśmiało brali po kawałku. Po tym oczywiście pana Abratowski dawał nam jakieś pieniążki za tą kolędę. Pamiętam jedną z tych kolęd właśnie to byli już państw Abratowscy byli rodziną troszkę powiększoną bo mieszkali u nich państwo Jankowscy. Pan Jankowski szczupły, wysoki człowiek, w okularach, na ręku miał chłopaka. Ten chłopak patrzył przestraszony na nas, takich murzynów jakiś dziwnych przebierańców. Potem puścił go z rąk do nas, żeby mu szopkę pokazać, ale ten chłopczyk bał się tego. Myśmy byli więksi od niego, różnica była może z dziesięciu lat, coś takiego powiedzmy. Wtedy właśnie poznałem państwo również Jankowskich. Takie jest moje wspomnienie. Czasem uśmiecham się patrząc na tablicę w sali kinowej nowego Domu Kultury, widzę pana Abratowskiego jak dziś.

**MF: Jak on wyglądał panie Tadeuszu?**

TŻ: To był taki mężczyzna wysoki, raczej słusznej tuszy, zawsze w garniturze i to najczęściej szarym takimi troszeczkę brązowym, w okularach takich grubych, i tak dalej. Starannie włosy przyczesane, zgodnie z estetyką tamtych lat. Szybko mówił, tak charakterystycznie i najczęściej chodziły sobie sam po Mościcach. Ja go nie widziałem nigdy w sklepie, w takich miejscach codziennych, zwyczajnych, bo to załatwiała pani Abratowska ewentualnie ktoś, pani Mela chyba na imię miała, i tam ktoś kto u nich pracował. Tutaj te rodziny inteligencki, do który należał również pan Abratowski, to one zatrudniały u nich pracowały takie panienki, które jako odpowiednik służący. W tych czasach nie używało się już takiego określenia bo było niepolityczne, niepoprawne. tak to było z panem Abratowskim. On był postacią powszechną, na wszystkie pochodach bo orkiestra występowała wszędzie więc pan Abratowski z tą swoją charakterystyczną buławą prowadził te orkiestry.

**MF: Na taką puentę tej pańskiej opowieści panie Tadeuszu, chciałabym prosić o takie coś najważniejszego, co dla pana zawsze pozostanie w pamięci właśnie z tego dzieciństwa, z młodości w Mościcach.**

TŻ: Właściwie to wszystko było ważna (śmiech). Całe moje życie przypadło na lata trudne, ale to byłam moja młodość. To były też inne Mościce, to była inna atmosfera. To było życie w pewnej enklawie społecznej, oderwanej troszeczkę od głównego nurtu życia miejskiego. Z Mościc do Tarnowa się jeździło. Trzeba było jechać do Tarnowa, wcale się nie mieszkało w Tarnowie. Mościczanie nie mieli tego poczucia, natomiast mieli poczucie odrębności. Oni tutaj wszyscy znaleźli swoją pracę, swój dobrobyt, przed wojną bardzo dobrze płacono niezależnie od kryzysu. Kto miał pracę w Mościcach to miał spokojną przyszłość, perspektywy rozwoju i godnego życia. Przecież tutaj było organizowane życie we wszystkich wymiarach. W zakresie wypoczynku, i w zakresie realizacji własnych planów, marzeń, i tak dalej. Tak było do wojny. Po wojnie przecież ludzie byli ci sami, to wszystko przeszło płynnie. To się zaczęło zmieniać w połowie lat 60., już właściwie od początku niemalże lat 60., Te nieuchronne procesy społeczne musiały to wszystko zmienić, ale dla mnie Mościce pozostały w sercu, tak muszę to powiedzieć, i zostaną już do końca moich dni dlatego, że to była moja młodości i to było wspomnienie życia jeszcze opartego na wartościach.